

Ratowanie cierpiącej planety

Julian Rose, autor wydanej niedawno książki „W obronie życia”, posiada rzadką w moim przekonaniu umiejętność. Otóż potrafi łączyć, z pozoru oderwane od siebie, zjawiska współczesnego świata. Globalna ekonomia, wyjałowienie gleby spowodowane stosowaniem nawozów sztucznych i środków ochrony roślin, kondycja zdrowotna człowieka, rozwijanie odnawialnych źródeł energii, organizmy modyfikowane genetycznie, ponadnarodowe korporacje czy polityka rolna Unii Europejskiej – mają wspólny mianownik. Jest nim podszyte chęcią zysku dążenie stosunkowo wąskiej grupy ludzi do przejęcia władzy nad rzeszami konsumentów, nieświadomych i pozbawionych wpływu na własne życie – czyli nas, zwykłych ludzi.



W książce autor dzieli się własną życiową drogą, która właściciela rozległego gospodarstwa ekologicznego w Anglii przywiodła w 2000 r. do Polski, by działać tutaj na rzecz zachowania naszej tradycyjnej wsi. Julian tak o tym pisze: „Przez ostatnie dziesięć lat moim powołaniem było pomaganie polskiej wsi, jej małym rolnikom i dobrym mieszkańcom tego kraju w przeciwstawianiu się gigantom korporacyjnej agrochemii i inżynierii genetycznej. Konglomeraty te wydają się być zdeterminowane, aby wkroczyć i zamienić tę zachowaną jeszcze w stosunkowo naturalnym stanie ziemię w wielkie eksperymentalne toksyczne laboratorium”.

Razem z Jadwigą Łopatą kieruje Międzynarodową Koalicją na rzecz Ratowania Polskiej Wsi. W jej ramach podejmuje wiele działań i kampanii w celu propagowania ekologicznych form uprawy ziemi, łączenia rolników z potencjalnymi odbiorcami ich produktów w miastach czy przeciwstawiania się ekspansji organizmów modyfikowanych genetycznie. Julian Rose opisuje zmagania z biurokratami w Brukseli i Warszawie, ale też relacjonuje spektakularne sukcesy, jakimi było podjęcie przez sejmiki wszystkich województw w Polsce uchwał deklarujących wolność od GMO.

W pełnych pasji i osobistego zaangażowania esejach autor kreśli ponury obraz rzeczywistości, w której zwykli ludzie są pozbawieni realnego wpływu na podstawowe kwestie związane z ich życiem. Rządzą nami bowiem korporacje, biurokraci i finansjści, którzy bezwzględnie eksploatują planetę, zmuszając jednocześnie nas, żebyśmy uczestniczyli w tym tragicznym spektaklu szkodzenia sobie i przyrodzie. To zniewolenie jest znakiem naszych czasów. Najgorsze jest jednak to, że tak wielu z nas nie dostrzega w nim niczego niepokojącego. Niczym w letargu jesteśmy uspieni lub omamieni cywilizacyjnymi gadżetami, pracą ponad miarę czy tanią rozrywką, które nie pozwalają nam zobaczyć ogromu cierpienia.

Autor nawołuje do przebudzenia się, wzięcia spraw w swoje ręce i ustanowienia na powrót własnej niezależności od ciemnych sił tego świata. To zadanie jest niezwykle trudne, ale możliwe do przeprowadzenia. Tym bardziej, że pomoc może nam w tym szczególny duchowy wgląd, do którego zachęca autor.

Szansą dla nas jest rodzaj anarchosyndykalistycznej rewolucji społecznej, której elementy można było dostrzec w ruchu „Solidarności” na początku lat 80. XX wieku w Polsce. Rose pisze, że utraciliśmy wtedy szansę na prawdziwy przełom społeczny, który mógł doprowadzić do przejęcia zakładów pracy i produkcji przez robotników. Ta trzecia droga (poza socjalizmem i kapitalizmem) jest wciąż dostępna. Innym rozwiązaniem jest wspieranie małych, rodzinnych gospodarstw rolnych produkujących ekstensywnie wysokiej jakości żywność, której nadwyżki są dystrybuowane lokalnie. Jak więc widać, autor zachęca nas, abyśmy wzięli sprawy w swoje ręce i wyszli z globalnego systemu. Ten nacisk na lokalność przewija się wielokrotnie na kartach książki i stanowi znak rozpoznawczy działalności Juliana Rose w Anglii i Polsce.

Propozycje rozwiązania problemu zaproponowane w książce wydają się adekwatne do diagnozy współczesnej sytuacji, jednak momentami, w moim przekonaniu, są problematyczne. Gdy bowiem system się załamie (a tak niechybnie się stanie, jak przewiduje autor), przestaną działać centralne instytucje, a my zostaniemy bez prądu w gniazdku, ratunkiem ma być przejęcie jakiegoś kawałka ziemi i próba utrzymania się z niego. Jeśli chodzi o prawdziwych rolników, którzy to już robią – może się to udać. Jeśli jednak mieszkańcy wielkich miast w pogoni za żywnością zechcą osiaść na wsi, by wyżyć z tego, co wyrosnie na polu – obawiam się, że czeka nas katastrofa. Jest nas najzwyczajniej za dużo, by dla każdego starczyło miejsca. Prawdopodobnie tego rodzaju sytuacja skończyłaby się trudnym do wyobrażenia konfliktem o zasoby.

Tak czy owak już teraz możemy przeciwdziałać temu czarnemu scenariuszowi. Jak? Przede wszystkim wspierając drobnych rolników i rezygnując z uwikłania w system, żyjąc coraz bardziej lokalnie. „Małe jest piękne” i odpowiednie jako lekarstwo dla cierpiącej planety.

Ryszard Kulik

Książkę „W Obronie Życia. Pragmatyczne propozycje dla cierpiącej planety” można kupić na stronie Wydawnictwa Genesis: genesis.apivision.com